

Czy i w jakiej mierze...

(ciąg dalszy ze str. 1)

plonna. Nie bez powodu dyskusje o kondycji moralnej „ludzi nauki” przekształcają się tak łatwo w lamenty na upadek obyczajów. Też w tych lamentach biorę czasem udział, ale dzisiaj nie mam ochoty. Wolę założyć tym razem, że „ludzie nauki” mają w większości całkiem dobre chęci i największy problem to **warunki**, w jakich nauka się znalazła w naszych czasach.

Mam na myśli **umasowienie** nauki, pociągające za sobą rosnący udział bezrefleksyjnych wykonawców bardzo wycinkowych zadań, jej **urynkowanie** i większą niż kiedykolwiek **zależność od niekoniernie oświeconych sponsorów**, wynikającą po prostu z faktu, że coraz trudniejsza lub wręcz niemożliwa jest praca chałupnicza. Mówiąc o nauce polskiej, mam na uwadze także, a może przede wszystkim, skumulowanie się skutków długotrwałego lekceważenia potrzeby rozwoju nauki jako dźwigni modernizacji; **pauperyzację** tych ludzi nauki, którzy chcieliby poświęcić się całkowicie swemu właściwemu powołaniu; niedostatek wysiłku edukacyjnego, który poprawiałby nie tylko statystyki, ale i przeciętny poziom wykształcenia itd.

Są to, oczywiście, sprawy znane, **same** – jak powiadają politycy – „**priorytety**”. Wiadomo, co, tylko nie bardzo wiadomo, *jak, po co i za co*. Wspominam o tym wszystkim jedynie dlatego, że domniemy upadek obyczajów, którego symptomy raz po raz obserwujemy, ma swoje głębokie **przyczyny** polityczne, społeczne, ekonomiczne oraz instytucjonalne. Byłoby cudem, gdyby go nie było. Cudem jeszcze większym – być może – aniżeli to, że ciągle niemało jest młodych ludzi, którzy wybierają karierę naukową.

Nie mam zamiaru zrzucić całej odpowiedzialności na bezosobowe warunki czy też na polityków, których działania dotyczące nauki należą ciągle w znacznej mierze do kategorii znakomicie w czasach PRL opisanej przez Jana Lutyńskiego jako *działania pozorne*. Ani, tym bardziej, na tzw. społeczeństwo, w którym „wykształciuchy” niekoniernie są szanowane, praca umysłowa uchodzi pospolicie za lekką, a własność intelektualna nie jest prawdziwą własnością, której zawłaszczenie byłoby zwyczajną kradzieżą.

Środowisko naukowe też nie ma powodów, aby mieć czyste sumienie i brak powodów, aby sądzić, że pod względem kondycji moralnej góruje nad innymi. Każdy z nas zna zapewne enklawy, które można stawiać za wzór wszelakich cnót, jako całość wyróżnia je wszakże głównie większa zapewne od przeciętnej dbałość o zachowywanie pozorów, którą daje się wyjaśnić tym, że dla tak wielu z nas wydział czy instytut to miejsce stałego osiedlenia, a jakaś część ludzi nauki to **plemię**, z którego nie oplaca się ostentacyjnie wypisać. Trzeba nader mocnych pokus i braku wyobraźni, żeby zrobić coś jawnie niestosownego. Zamieszkanie przez nas osady tym wszakże różni się od tradycyjnych wspólnot lokalnych, że panuje w nich duża (i coraz większa) **tolerancja** dla odmienności i ekstrawagancji wszelkiego rodzaju, które w niejednym środowisku spotkałyby się z natychmiastowym potępieniem. To może i bardzo dobrze, ale czasem bardzo źle.

Dobrze tylko tak długo, jak długo spełnione są dwa warunki. Po pierwsze, respektowane są pewne *elementarne*, wspólne dla wszystkich ludzi, zasady, które dla uproszczenia skłonny jestem sprowadzić do dekalogu – może nawet trochę skróconego na użytek niewierzących. Po drugie, przestrzegane są pewne *swoiste dla nauki reguły*, których przestrzeganie decyduje o tym, że jest ona nauką, a nie czymś innym, a to właśnie jako nauka jest społeczeństwu potrzebna. Ważniejsze od prawienia moralów jest przeto cierpliwe tłumaczenie, na czym polega ten szczególny rodzaj działalności poznawczej i edukacyjnej, niezastępowalnej przez żadną inną, oraz praktyczne podwyższanie i egzekwowanie wymagań. Na razie chętnie narzekamy, że są za niskie; kiedy wszakże przychodzi co do czego, przymierzamy swoje oceny nie do wysokich wzorów, lecz do lokalnej średniej, bo tyle było przecież dużo gorszych prac. Rzeczywiście było ich bardzo dużo. I będzie coraz więcej z tych powodów, które usiłowałem w skrócie wliczyć. Kiepska kondycja moralna ludzi nauki jest tylko jednym z nich.

JERZY SZACKI

List do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Narodowe Centrum Nauki to dobre rozwiązanie. Nie zazdroścę szefowi. Olbrzymia maszynaria biurokratyczna i źródło niezadowolonia.

Czy to Centrum zbawi polską naukę? Chyba nie. Bowiern same rozwiązania naukowe, otrzymane drogą grantów, nie stworzą polskiej supernauki.

Podobnie – publikowanie w pismach tzw. filadelfijskich. To tylko miarka. W USA czyta je głównie środowisko akademickie, które robi habilitację, czyli „tenure track”. W Polsce nie wszyscy mają dostęp do tych pism. Zawsze, gdy jestem na polskiej uczelni, to badam ich zasoby pism naukowych. Słabe.

Przykładowo, co można powiedzieć o tak ważnej dziedzinie, jak informatyka i jej nauki, która nie ma swego pisma naukowego w Polsce? Co z tego, że któryś profesor czy doktorant opublikuje coś w piśmie „filadelfijskim”, skoro prawdopodobnie nikt w Polsce tego nie przeczy-

ta, boiwn naukowych pism informatycznych jest 50+. Ponadto, na pewno nikt z praktyki tego nie przeczyta. Czyli „nauka dla nauki”.

Na „światowym” zjeździe inżynierów na Politechnice Warszawskiej we wrześniu 2010 nie pozwolono z sali zgłaszać wniosków ani nad nimi głosować. Co śmieszniejsze, sami organizatorzy też nie zgłosili żadnych wniosków. W dyskusjach najżywi byli uczestnicy z zagranicy. Inżynierowie z kraju bali się wychylać – mówili po cichu na korytarzu.

Moim zdaniem, tego typu kultura nie sprzyja rozwojowi nauki ani techniki w Polsce.

22 kwietnia 2011

ANDREW TARGOWSKI

[Prof. Dr (tenured)]

Western Michigan University

Director of the Center for Sustainable Business Practices
Kalamazoo, Michigan 49008, USA